

Sztama

Garnitur w paski nie stanowił problemu, choć matka Konusa na pewno byłaby innego zdania. Absolutnie nie, mówił sobie Konus, wyjmując paski z szafy, stojąc w paskach przed lustrem, w drodze do tramwaju, na pasach. Normalka. Na studiach kupować innego nie miał potrzeby, po studiach nie bardzo miał możliwość. Nowy mundurek czy nowa karta graficzna? No raczej. Kilka ostatnich lat przeleciał na deficycie kalorycznym, więc strój trochę wisiął, paski powiewały na wietrze, ale tym też nie warto było się przejmować. Absolutnie i z całą pewnością nie wyglądał jak gimbus w ciuchach starszego brata. Na pewno nie myśleli tak zerkający na niego ludzie. Nikt nie zamierzał wskazać palcem i krzyknąć: „Wracaj do szkoły, Konus!”. Bez szans. Musieliby chyba wpaść na niego znajomi – i to naprawdę bliscy, tacy, którzy pamiętali jeszcze studniówkę i jego strój, dobrany specjalnie, żeby pokazać wszystkim, jaki z Konusa luzak.

Cholera, w bok. Przystanął przed wejściem do kawiarni. Rzeczywiście, celowo wybrał wtedy niezbyt poważny strój. A przecież teraz żarty się skończyły. Zarówno siebie, jak i swoje przyszłe zobowiązania należało traktować serio. Konus – nie, do kurwy nędzy, nie żaden Konus, a Konrad! – wiedział o tym dobrze, przyswoił sobie znaczenie powagi, bo cały ostatni tydzień spędził przed ekranem, przeglądając porady dla osób w jego sytuacji. Odpowiedni strój jest istotny, bo świadczy o szacunku dla rozmówcy. Strój jest wizytówką pracownika, a pracownik wizytówką firmy. W tym wypadku pasiastrą jak przejście dla pieszych, ale co zrobisz? W szafie nie czekał na niego przecież szeroki wachlarz możliwości. W sklepie owszem, ale nie mógł ot tak pójść do sklepu po nowy garnitur. Najpierw praca, potem płaca. Obieg zamknięty.

Zadrzał z zimna – jego złachana puchówka została w domu, bo bał się, że kruterka uzna ją za afront – i pchnął drzwi. Zauważył ją niemal natychmiast: siedziała przy stoliku na drugim końcu sali, cała w garsonce i szpilkach. Przed sobą miała plik kartek i ogromne granatowe pióro. Nie było wątpliwości. Kobieta-bank, bank wcielony, bank we własnej osobie. Czekala na niego.

Postawił krok w jej stronę, ale poczuł, że ma lodowate dłonie. Wyobraził sobie, że podchodzi, wysuwa rękę, kluczowe sekundy mijają pod znakiem jego zimnej, lekko wilgotnej, gadziej skóry. Pierwsze wrażenie jest najważniejsze! Wedle internetowych poradników potwierdzają to nawet bliżej niesprecyzowani naukowcy. Tak jest, nauka w służbie Konrada. Podjął decyzję w ułamku sekundy i dał susa za stojak na płaszcze. Zerknął przez szparę między postawionym kołnierzem a ogromnym tęczowym szalikiem. Nie, kobieta z banku go nie zauważyła; wciąż siedziała do niego tyłem. Chyba rozmawiała z kimś przez komórkę. Przeniósł wzrok na zegarek. Nie był jeszcze spóźniony,

miał kilka minut luzu. Mógł poczekać, aż się rozgrzeje, a potem udać, że dopiero przyszedł, podejść do stolika jak prawdziwy król świata: nadcztłowiek, którego nie imają się żywioty – spokojny i ciepły, choć w samym garniturze.

Zaryzykował, znów przysunął się do frędzli szalika i tyknął na rekruterkę. Widział tylko tył jej głowy i spięte wysoko włosy, więc nie miał pojęcia, ile ma lat, i nie mógł sformułować strategii działania. Internetowe poradniki były w miarę zgodne: gdyby była w jego wieku, powinien zachowywać się swobodnie. Znacząco starsza – swobodnie, ale z szacunkiem. Szacunek do starszych matka kładła mu do głowy przez całe dzieciństwo. Trudniej było wypracować luz, rozmawiać, jakby nic od tej rozmowy nie zależało.

Ręce wciąż miał lodowate. Ale przecież był przygotowany! Niezależnie od wieku rekruterka musiała zadać mu przynajmniej kilka standardowych pytań, na które znał odpowiedzi. Na przykład: „Dlaczego powinniśmy zatrudnić właśnie ciebie?”. Pozornie niekonkretny koszmar, ale Internet uspokajał, że w istocie szansa na uświadomienie rozmówcom swojej wartości rynkowej. Albo kolejny hit: „Co cię motywuje?”. Myślałby kto, że nie wolno powiedzieć „pieniądze”, ale właśnie wolno! Odpowiednie wynagrodzenie jest niezwykle istotne, bo... bo co? Cholera. Pomaga poczuć się bezpiecznie i realizować pasję. Pasję. Ja pierdole, pasję! Tyle, że dla Konusa to żadne tam wyjazdy, historia, sztuka, żadna pozycja z listy przykładów, nic z tego, co podsuszała mu matka. Pasją Konusa jest *Call of Duty*. Co pani na to, pani bankierko?

Kurwa, zaraz, wróć! Konrada, nie Konusa! Konrada, który najpewniej czuje się, analizując statystyki, mieląc dane przed bezpieczną, konkretną, rzeczową taflą ekranu, ale który wie przecież, że już za chwilę przyjdzie mu się wykazać w interakcji międzyludzkiej. Rozmówczyni może mu zadać pytanie zupełnie od czapy, mające wy badać, czy i na ile fajny z niego koleżka, a w domyśle wartościowy pracownik. Na przykład: „Jak zważyłbyś bez wagi samolot?”. Albo słońia? To podobno dwie najczęstsze opcje. Żadna nie stanowi problemu. Konrad uda, że się namyśla, ale potem wyrecytuje odpowiedź jak magiczną formułkę: samolot można zważyć, sprawdzając wagę jego poszczególnych elementów podaną przez producenta i dodając do tego paliwo, a jeśli chodzi o słońia, można umieścić go na łodzi i zaznaczyć, jak głęboko zanurzyła się w wodzie, a po wyprowadzeniu słońia obciążać łódź przedmiotami, których wagę się zna, i tak dalej. Nawet „dziesięć sposobów wykorzystywania otówka innych niż pisanie” – co wedle wszechwiedzących portali też często się pojawia – Konrad ma w małym palcu lewej ręki. To znaczy każdy ma w innym palcu, bo zapamiętał po jednym sposobie na każdy palec, żeby mu się nie myliło. No więc tak, prawy kciuk to drapanie się po głowie, prawy wskazujący... nie, dobra, koniec tego, trzeba wziąć byka za rogi. Trzeba mieć rzecz z głowy. Pewność siebie i zdecydowanie – tu wszystkie poradniki mówiły jednym głosem. Pewność siebie. Pewność. Konrad zatartł dłonie, które jak na złość nadal nie chciały się rozgrzać.

Dopiero teraz zauważył, że stolik, przy którym zbierał siły, był zajęty. Naprawdę zajęty: zawalony ubrankami, butelkami, siatkami, paczkami pieluch. Na krawędzi balansowała niebezpiecznie filiżanka kawy. Przy stoliku siedziała młoda kobieta, a kiedy Konrad

przeniósł na nią wzrok, ich spojrzenia spotykały się. Zmarnowana: zapadnięte policzki, wory pod oczami, popękane naczynka. Obok stolika głęboki wózek, w wózku dziecko. O ile można je tak nazwać. Konrad skrzywił się mimo woli. Dzieciak wyglądał jak kosmita. Wysunięte czoło, maleńkie ślepia, niemal niewidoczne wargi, a na bulwiastej głowie pięć włosów na krzyż. Resztę ciała nie widział, bo była owinięta sześcioma warstwami ubrań, tak że stwór przypominał raczej tłustą glistę niż miniaturowego człowieka. „Nie gorąco mu?” – pomyślał Konrad. Ale znał się na dzieciach znacznie mniej niż na wazeniach samolotów i stoni, więc wzruszył ramionami i uznał, że może tak właśnie musi być. Zresztą wszystko jedno. Już chciał się odwrócić, ale nadal czuł na sobie spojrzenie kobiety. Jej oczy były delikatnie zaszkłone, lepkie. Konrad uśmiechnął się niepewnie – z automatycznej uprzejmości, którą wpoila mu matka. Uśmiechnął się, bo czemu by się nie uśmiechnąć.

Nieznajoma też uniosła kąciki warg, choć wyglądała, jakby ledwie starczyło jej na to sił. A Konrad poczuł, że nareszcie rozgrzewają mu się dłonie, że jest gotów do działania, że teraz albo nigdy. Zabrzmiały mu w głowie słowa matki, głośno i wyraźnie, jakby stała obok: „Tchórz umiera sto razy”. Wyżej uniosł głowę, odetchnął nieco głębiej, spokojniej. Postąpił nieznajomej kolejny uśmiech, tym razem naprawdę serdeczny, i ruszył wziąć byka za rogi.

Pary starczyło mu na dziesięć sekund. Kiedy bankierka odwróciła się do niego, zobaczył, że jest w wieku wymagającym wzmożonej dawki szacunku.

– Dzień dobry pani – powiedział uprzejmie.

– Cześć, Konrad! Mów mi Krysia. – Ścisnęła mu dłoń tak energicznie, że jego ciepłe palce zmiękły jak parówki. – Czego się napijesz?

– Pani już zamówiła, to znaczy...

– Krysia – upomniała go Krysia z uśmiechem, ale tak szybkim, że trudno powiedzieć, czy rzeczywiście zagościł na jej ciemnoczerwonych ustach. – U nas w firmie wszyscy mówimy do siebie po imieniu. Lubimy się wszyscy, wiesz? To ważne. Chwytasz, prawda?

– Tak, jasne... chwytam – przetknął Konrad. Wiedział oczywiście o takich przyzwyczajonych z Zachodu zwyczajach, sam ich doświadczył na praktykach, ale wszystko miało swoje granice. Krysia była starsza, starsza przez wielkie es, tak wielkie jak w słowie szacunek.

– To czego się napijesz?

Kwestia płacenia na takim spotkaniu była dla Konrada jednym wielkim stresem. Czy on jako chłopak, jako facet, jako mężczyzna powinien zaoferować, że zapłaci za nich oboje? To nie randka, odpowiadał Internet. Więc może powinien płacić za siebie? Niekoniecznie, mówiły fora. Przecież to przedstawiciel firmy jest tu niejako gospodarzem, gospodarzem teoretycznym, choć w praktyce rozmowa odbywa się na neutralnym gruncie. Konrad chciałby zapytać panią Krysię, nie, wróć, kurwa, po prostu Krysię, co woli, ale pytanie wydaje się żenujące i nie na miejscu. Zobaczymy, co się stanie.

– Kawę poproszę.

– No raczej, że kawę. Ale jaką?

– Latte – odparł Konrad, bo było to jedyne związane z kawą słowo, które przyszło mu na myśl. Na studiach i w domu pił rozpuszczalną i tyle.

Krysia wstała, ruszyła do lady. Musiała iść naokoło, żeby obejść długi rząd klientów, a kiedy minęła wieszak na płaszcze, tłusta glista z dziecięcego wózecka zaczęła płakać. Tymczasem Konrad, który niemal zajął już krzesło, zamarł w półprzysiadzie, bo jak to tak siedzieć, kiedy ktoś starszy stoi, kiedy idzie zamówić mu kawę? I do tego kobieta? Powoli wyprostował nogi, rozpiął marynarkę i zaczął ją zdejmować, ale internetowy poradnik dzielił go po łbie wspomnieniem, że to absolutnie niedopuszczalne. Wsunął więc marynarkę z powrotem na ramiona i przykucnął, żeby udawać, że wiąże sznurowadła.

– Zaraz przyniosę – powiedziała Krysia, kiedy wróciła do stolika. – Nagle zrobiła się kolejka, chociaż chwilę temu nie było nikogo. A przecież czas to pieniądz. – Spojrzała na Konrada z lekkim wyrzutem. – No nic, bywa. Czemu stoisz? Siadaj!

– Tak jest.

– „Tak jest, tak jest!”. Co ty, do wojska się wybierasz? – Roześmiała się piskliwie, jakby ktoś rozsypał sztucce.

Dziecko płakało coraz głośniejsze.

– Tak, znaczy nie. Ja zawsze tak mówię. Po prostu...

– Spokojnie, Konrad. Wyluzuj. Siadaj wreszcie. No, tak lepiej. Myślę, że nie ma co przeciągać, przejdźmy do rzeczy. Widziałam twoje CV. Studiowałeś na Uniwersytecie Warszawskim, tak?

Zamrugnął.

– Nie...

– A, rzeczywiście, pisałeś tylko, że w Warszawie.

– Na Akademii Finansów i Biznesu. A potem byłem na praktykach. Znaczą...

– Mieliliśmy kiedyś kogoś stamtąd w firmie. Długo się nie utrzymał, jeśli dobrze pamiętam. Nie dogadywaliśmy się. Ale to przecież nieważne.

Krysia nagle skrzywiła się, jakby bardzo rozboleła ją głowa. Przymknęła oczy. Pomasowała skronie.

– Wszystko dobrze?... – spytał Konrad.

Mruknęła, że tak. Milczała jeszcze przez chwilę, po czym wzięła głęboki wdech.

– Ważne jest tylko twoje podejście i to, jak się u nas odnajdziesz. Jako firma oferujemy naprawdę dużo. Możliwości rozwoju zawodowego w organizacji pobudzającej przedsiębiorczość w Polsce i podnoszącej jakość życia Polaków. Zapewniamy stabilne zatrudnienie w rozwijającym się i nowoczesnym banku z tradycjami. A także atrakcyjny pakiet szkoleń oraz świadczeń socjalnych. Ale sporo przy tym oczekujemy, stanowisko eksperta do spraw analiz rynków jest bardzo odpowiedzialne, to poważna sprawa, Konrad, rozumiesz? – Wciąż pocierała skroń. – W zakres twoich obowiązków wchodziłoby przygotowywanie cyklicznych oraz sporządzanych *ad hoc* opracowań dotyczących wskazanych rynków, utrzymywanie i zasilanie baz danych niezbędnych do prowadzenia analiz, stały monitoring oraz gromadzenie informacji dotyczących wskazanych sektorów

i gospodarek, sporządzanie niezbędnych rekomendacji i prognoz, więc jakie są twoje najmocniejsze strony?

Konrad zdębiał. Rwący nurt monologu cisnął go prosto na kamienie. Piski z drugiego końca sali nie ułatwiały koncentracji. Znowu miał w głowie pustkę.

– No, na czym najlepiej się znasz? Co umiesz?

– Zważyć słońca bez wagi.

Zamrugnęła. Spojrzała na niego.

– Co proszę?

– No, ja... przepraszam.

– To był żart?

– Nie, proszę pani.

– Jaka pani? Jaka znowu pani?

Krysia westchnęła ciężko i zerknęła przez ramię na kwiczące dziecko. Konrad czuł, że traci grunt pod nogami. Czuł, jak za jego oczyma rozrasta się na nowo Konus, który nigdy nie znajdzie dobrze płatnej roboty, który przepierdoli resztę życia, grając w *Counter Strike'a* w chujowych ligach, którego nie będzie stać na pyszne latte z kawiarni i który nigdy nie pokaże, jaki potrafi być odpowiedzialny i zaradny.

Zdecydowany i pewny siebie.

Zanim zorientował się, co właściwie robi, uniósł się nieco z krzesła i spojrzał na kobietę pod wieszakiem. Gładziła główkę dziecka swoją drobną, niemal przezroczystą dłonią. Przypomnił sobie jej ciepłe spojrzenie. Zawahał się. Ale nie.

– Przepraszam bardzo! – zawołał z uprzejmością, pod którą pobrzmiwała idealnie odmierzona dawka agresji. – Czy byłaby pani łaskawa zareagować? Nie wszyscy chcemy słuchać tego wrzasku. Niektórzy z nas prowadzą ważne rozmowy. Trochę szacunku, dobrze? Dziękuję.

Opadł z powrotem na krzesło i spojrzał na Krysię, w której oczach – był tego pewien! – mignęło uznanie.

*

Kobieta z dzieckiem weszła do kawiarni pół godziny przed Konradem. Zablockowała kółka, żeby wózek nie odjechał, zamówiła coś do picia, rozsiała się na fotelu i odchyliła głowę. Spędziła kilka cudownych, bezcennych chwil w absolutnym bezruchu do momentu, gdy jej młode obudziło się z drzemki. Było zaskoczone zmianą miejsca, powietrza, głosami nieznanymi. Zaskoczenie mogło szybko przerodzić się w coś gorszego, więc kobieta wyciągnęła do niego rękę, ukołysała, wygładziła mu włosy i myśli.

Gdy ktoś pytał, mówiła, że ma na imię Joanna, ale przecież nie pytał niemal nikt, bo nie miała tu żadnych znajomych ani nawet okazji, żeby kogoś poznać. Przez większość czasu siedziała sama w mieszkaniu, które znienawidziła, jeszcze zanim została matką. Było ciasne, wilgotne, zapuszczone. Silikon, którym zabezpieczono szczelinę między wanną a ścianą w łazience, już dawno sparcił. Rozwijająca się pod nim jakaś złowroga forma życia – grzyb, który rozpylał wokół zarodniki pachnące chłodem i kurzem.

Tak jej się przynajmniej zdawało za każdym razem, gdy brała kąpiel, więc brała ją rzadko, choć wciąż była zmarznięta. Nienawidziła też swojego ciała. Koszmarnego zlepka ledwie funkcjonujących elementów, pozbawionego porządnej regulacji termicznej. Wydawało się jeszcze gorsze od mieszkania. I nie wolno było z niego wyjść.

Kiedy siadywała przy dziecku i wglądała przez okno mieszkania, prosto do salonu sąsiadów, zwykle myślała o tym, że nie cierpi również otaczającego ją miasta. Huku samochodów na benzynę, smrodu z rur wydechowych, gigantycznych, szkaradnych budowli – wzburzonego morza betonu, które mogło ją w każdej chwili zalać, zdławić, pogrzebać. I cały kraj taki! Cały kontynent! Przestrzeń porozcinana, podzielona, rozdarta między plemiona, które wciąż skakałyby sobie nawzajem do gardeł, gdyby nie to, że miały w zanadru nieco zbyt niebezpieczną broń. Zewsząd agresja. Ledwie tłumiona, czasem wybuchająca, zawsze tłąca się gdzieś pod powierzchnią, śląca zarodniki spod sparciałej uszczelki. Ograniczana tylko lenistwem i strachem.

Jej partner twierdził, że nie zabawią tu długo. Mieli ruszyć w drogę za miesiąc, za dwa, za trzy. Na pewno przed przyjściem na świat dziecka – co do tego nie było żadnych wątpliwości! Tymczasem minął już prawie rok. Planeta wykonała kompletny obrót wokół słońca równie ohydny jak miasto i mieszkanie – zbyt wielkiego i jaskrawego, żeby na nie patrzeć, bombardującego skórę Joanny promieniowaniem o upiornym natężeniu. Nienawidziła go. Nienawidziła planety, na której przyszło jej żyć. Nienawidziła całego tego nieszczęsnego wymiaru.

Ale utknęli. Ugrzęźli. Po awarii transportera, kiedy już skopiowali dominującą formę życia, partner Joanny zrobił rekonesans i stwierdził z pełnym przekonaniem, że poziom tutejszej technologii jest wystarczająco wysoki; że zdoła zdobyć elementy, dzięki którym naprawi ich pojazd i będą mogli wrócić z tej nieszczęsnej wycieczki do domu. Już za miesiąc. Za dwa. Na pewno zanim zostaną rodzicami. Postanowił pracować wśród tutejszych istot, wtopić się w tłum.

Powtarzał, że nie mogą zwracać na siebie uwagi, nie mogą po prostu opleść myślami tego czy innego wysoko postawionego naukowca i zgarnąć wszystkiego, czego potrzebowali, bo przedstawiciele władz międzywymiarowych mogli czaić się za każdym rogim, w każdej plamie cienia. O, kiedy to mówił, jej partner był niezwykle odpowiedzialny, naprawdę dojrzały. Zupełnie nie jak ten postrzelony dureń, który zapomniał zapakować części zapasowych do transportera, bo myślał o zielonych migdałach. A jaką robił przy tym poważną minę! Jak ściągał swoje nowe krzaczaste brwi! „Zarobię na wszystko ciężką pracą”.

Tyle że najwyraźniej całkiem nieźle się bawił, rozwożąc ludziom pokarm, podczas gdy ona siedziała w czterech ścianach, nuciła pieśni odległych światów i zaglądała sąsiadom do salonu. Ostatnio zaczął nawet spotykać się wieczorami z nowymi znajomymi. „Spokojnie, ukochana, wszystko dla zachowania pozorów. Taki mają tutaj układ, samce to, samce tamto. Nie wychylajmy się. Nie zwracajmy na siebie uwagi”.

A więc siedziała. Bez wsparcia rodziny, bez żadnych doświadczonych dusz, które mogłaby prosić o radę i pomoc. Z dzieckiem, które było jeszcze tak maleńkie, że ledwie zdołało skopiować postać tutejszych młodych, zresztą nieudolnie i tylko od szyi w górę.

Całą resztę jego pięknego ciała musiała owijać kilkoma warstwami pieluszek i kocyków za każdym razem, gdy opuszczała mieszkanie. Owszem, do cholery, czasami po prostu musiała wyjść, choć generowało to cały zestaw nowych trudności!

W domu przynajmniej nie trzeba było nieustannie nadzorować myśli małego. Nieokietzanych, niekontrolowanych nici, które teraz, gdy siedziała nad kawą, stał w pustkę między aurami otaczających ich ludzi. Jak każdy noworodek znał tylko miłość i złość, widział wszystko w dwóch barwach. Złote myśli, pełne miłości, opłatały czasem Joannę i wtedy czuła, że równie dobrze mogłaby spędzić resztę życia choćby i w tym zaplutyń mieście. Częściej pojawiały się jednak nici srebrzyste, cienkie, zimne i lepkie niczym wydzielina tutejszych pajęczaków. Nici, które musiała z siebie strącać, wściekła i zmęczona, które musiała wyłapywać z powietrza, żeby przypadkiem nie dosięgły kogoś z miejscowych. Byłby bez szans! Nic stopiłaby aurę, a potem osiadłaby na skórze i przeżarta się aż do kości.

– Spokojnie – powtarzała słowami i uczuciem. – Nic się złego nie dzieje. – I próbowała skupić się na przyjemności z dotyku filizanki na wargach, ze smaku kawy, z harmidru rozmów.

Przede wszystkim była cholernie zmęczona. Tak bardzo, że kiedy obok stolika przystanął ten nieforemny, tyczkowy młodzieniec, kiedy poczuła jego stres, zobaczyła nieśmiały uśmiech, przypadkiem ułało jej się w jego stronę trochę matczynego wsparcia. Kiedy odszedł, rozejrzała się czujnie, czy nie wzbudziła uwagi jakiegoś czającego się w cieniu strażnika. Ale nie, nic. Tylko miły młodzian ruszył na spotkanie z przeznaczeniem. Rozmowy wokół przycichły i zrobiło się całkiem przyjemnie.

Chwilę później o wieszak z ubraniami otarła się kobieta w garsonce. Po zapachu jej myśli sądząc – matka. Już po odchowaniu młodych, po drugiej stronie, wolna. Mądra doświadczeniem. Godna szacunku. Joanna powiedziała za nią tęsknym wzrokiem, westchnęła, upiła łyk kawy.

A jednak w tym podłym wymiarze nawet namiastka błogostanu nie mogła potrwać długo. Może chodziło o nerwowe ruchy kobiety, może o strój, może głos, w każdym razie bardzo się matemu nie spodobała. Skrzywił się i puścił w jej stronę nic tak jadowicie srebrzystą, że Joanna ledwie zdążyła zbić ją z kursu i rozproszyć na samej krawędzi aury, gdzie mogła wywołać co najwyżej delikatny dyskomfort.

Dziecko w płacz, jakby wyrwała mu coś z macki. Posłało kolejną myśl, ale tym razem Joanna była gotowa: jednym płynnym ruchem zawinęła ją sobie wokół palca, który wsunęła do ust. Wrzask się nasilał. Kolejne nici, coraz rozpaczliwsze, ciężkie od frustracji i zawodu, leciały już na wszystkie strony, w odsłonięte szyje roześmianych gości, między oczy krążących po kawiarni baristów. Im szybciej je blokowała, tym głośniejszy zawodził jej syn. Pogłaskała go po głowie w nadziei, że kontakt fizyczny jakimś cudem zdziała więcej niż emocjonalny. Nie zanosilo się na to. Zwiesiła ramiona.

– Skarbie mój, skarbie – mruzczała cicho. – Serce mi się kraje, no. Przecież ja bym ci nieba przychyliła. Dajabym ci wszystko, czego chcesz. Ale nie możemy. No nie możemy. Ćśś.

Zresztą... czy ktokolwiek na tej planecie zdołałby powiązać dziwną, niewyjaśnioną śmierć z obecnością dziecka? Tutejsze formy życia nie miały przecież pojęcia o wychodzeniu emocjami poza obręb własnej czaszki, a wbrew temu, co z absolutną pewnością głosił partner Joanny, nic nie wskazywało, by planetę monitorowały jakiegokolwiek służby z prawdziwego zdarzenia. Może mogłaby sobie odpuścić. Parsknęła pod nosem. Nie, nie. Tamten chłopak. Z uśmiechem na twarzy. Z dłońmi, które wymagały ogrzania.

Nagle:

– Przepraszam bardzo! Czy byłaby pani łaskawa zareagować?

*

Lekarz ostrzegał, że mogą pojawić się nagle bóle głowy. Czas robi swoje, nie wygra się z biologią. Ale to? Wrażenie jakby ktoś chwycił ją za ramiona i wbił długą szpilę prosto w potylicę. niesprawiedliwe. Jakim prawem. I jeszcze ten gnojek przed nią, z mlekiem pod nosem, śladem niedogolonego wąsa, w pasiastym garniturze z lumpeksu, ewidentnie za dużym. Zebra z kontenera pełna żartów o słońcach. Potwarz.

Pracowała w banku ponad dwadzieścia pięć lat. Zawsze bez zarzutu, z pełnym zaangażowaniem. Ale i tak musiała patrzeć, jak kolejni młodszy współpracownicy zostają zastępcami menadżerów, a potem menadżerami, musiała uśmiechać się, gdy menadżerowie zlecali jej kolejne zlecenia poniżej jej godności, umiejętności i stażu. Wszyscy z HR są akurat zajęci, a przecież ty na pewno sobie poradzisz, Kysiu! Przemagluj nam kilkoro kandydatów!

Boże kochany, jakie on zrobił oczy, kiedy ją zobaczył, jak się zgiął w pół, jak delikatnie podał jej rękę! Jakby widział babcię stojącą nad grobem i bał się, że przypadkiem ją do tego grobu zepchnie. A przecież wiedziała, jak wygląda. Magia botoksu, jad kiełbasiany – fontanna młodości dawkowana strzykawka po strzykawce. Wymrażanie zmarszczek, sprężony tlen. Żeby dalej być w gronie kandydatów do awansu. Żeby nie widzieć w niczych oczach ohydny poważania. Tej, kurwa, czci. Co on może wiedzieć o kobietach? Ba, o życiu, żałosny gnojek.

Żeby tylko głowa tak jej nie bolała! Żeby tylko mogła skończyć spotkanie i wyjść jak najszybciej na powietrze. Żeby dziecko z drugiego końca sali przestało wreszcie płakać. Dzieci, wszędzie dzieci. Konrad z Akademii Biznesów też ledwie co z macicy wystrzelił, wystrzelił i usiadł na baczność z mięciutką dłońią owiniętą wokół latte. „Proszę pani, proszę pani! Tak jest, proszę pani! Już jestem, proszę pani!”. Krysia go przyjmie, zatrudni, sprowadzi do biura, a za kilka lat będzie musiała do niego raportować. Niedoczekanie.

A cóż to? Co to za płomień zapłonął mu w oczach? Podniósł się z miejsca, obrócił i głos uniósł, żeby zwrócić uwagę matce z dzieckiem, że cicho ma być, że ważne rzeczy się dzieją. W kawiarni ma być cicho? Co za absurd! Gdzieś dzwonią, ale nie wiadomo, w którym kościele. Coś mu się piąte przez dziesiąte przypomniało, że w życiu należy walczyć o swoje. Że trzeba zdobywać uznanie pracodawców. Krysia mogła tylko pokręcić głową. Ty mały durniu. Czepiasz się, wywyższasz, stawiasz, a nie masz pojęcia,

jakim koszmarem jest opieka nad małym dzieckiem. Jaka to harówka. Odpierdoliłbyś się lepiej od niej, po rękach byś ją lepiej całował. I ją, i mnie, i nas wszystkie.

Ale trzeba przyznać, że wrzaski rzeczywiście robiły się coraz trudniejsze do wytrzymania. Szczególnie z tym bólem głowy. Są pewne granice, tak? Granice przyzwoitości. Czemu to dziecko tak się drze? Może mu za gorąco?

Krysia zerknęła w stronę wieszaka na ubrania. Siedząca przy nim kobieta gładziła płaczące zawiniątko po głowie. Uniósła wzrok, spojrzenie trafiło w spojrzenie. Dziwna to była baba, rysy twarzy zdecydowanie niepolskie, musiała przyjechać z zagranicy. Krysia zerknęła znów na Konrada, który usiadł i ewidentnie czekał na jakąś reakcję z jej strony. Pomasażowała skronie. Cóż, trzeba mu przyznać, że przynajmniej nie pozostał w tej sytuacji bierny. Nikt inny nie zareagował, choć piski i chargot na pewno przeszkadzały wszystkim naokoło.

Tak, ma mleko pod nosem... ale przynajmniej się postawił. Uprzejmie, ale stanowczo. Co by nie mówić: starał się. Można mu to zaliczyć na plus. Ostatecznie wzbudza przecież trochę sympatii, prawda? Taki z niego uroczy safandula z tym jego „proszę pani”. Aż by się go chciało przytulić i wytarosić za włosy.

A macierzyństwo? Owszem, harówka, ale nie trzeba przy jej okazji zatruwać innym życia, przeszkadzać, ciągać wszędzie bachora, tak? I to w porze lunchu. Nie trzeba definiować się przez dziecko. Można robić swoje, zachować profesjonalizm. Krysia już następnego dnia po porodzie była przecież na telekonferencji z zagranicą. Trochę przyćpana, ale ogarnięta, pewna, że jej kariera zaraz nabierze rozpędu; z gotową prezentacją i zestawem notatek pod ręką. Wszystko się da. Profesjonalna opieka, system partnerski. Albo po prostu: siedź w domu i przeczekaj najgorsze. Szanuj siebie i innych. Ich czas. I bolące głowy.

Znów przeniosła wzrok na kobietę spod okna i znów napotkała jej spojrzenie. Było intensywne, wyczekujące. Wyczekujące? Niby na co? Krysia podjęła decyzję.

– Właśnie, proszę pani – rzuciła surowo. – Próbujemy pracować.

Tamta bardzo powoli uniosła kąciki ust.

– Najmocniej państwa przepraszam – odparła z trudnym do określenia akcentem.

Ostentacyjnie odchyliła się na fotelu i splótła ramiona na piersi. Jej twarzy nie opuszczał uśmiech. Posłała czułe spojrzenie w stronę wózekka i skinęła głową, a dziecko nareszcie przestało płakać.



Monika Bordzół, *Poczwara nie czara*